Nr 17. Kraków, 25 Kwietnia 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Listy z Rady Państwa

Jakóba z pod Wawelu.

Wiedeń 18 kwietnia.

Stare przysłowie mówi: „Kiedy wejdziesz między wrony, musisz krakać jak i ony.“ Jeśli cię zaś nie stanie na to, żeby porówno krakać i skakać, to drugie przysłowie daje radę dobrą, choć bardzo niebezpieczną: „Zastaw się, a wystaw się.“ Takem sobie rozważał w przeszłą sobotę rano, kiedy trzeba było ustroić się w odświętne szaty i wybrać do cesarskiego zamku, na owo przyjęcie posłów przez Cesarza. Siedziałbyś w domu; byłoby wygodniej i cieplej, tak się odzywał we mnie nygus i leniwiec, który zawsze człeka od obowiązku odwodzi, a miał racyę wielką, bo na dworze deszcz lał jak z konewki przetakiem, a zimnisko wilgocią przejmowało do kości. Alem przemógł pokusę, bo nie czas jeszcze w starość się bawić, skoro starsi jeszcze głowę do góry trzymają i do pracy się nie lenią, a pracy bardzo wiele. Przytem pomyślałem sobie, że w domu przy piecu siedzieć, znaczy tyle, co nic nie widzieć i nic nie wiedzieć, a tu przecie *Krakusowi* słowo się dało, więc rad nie rad zbieraj się Jakóbie! Skrobię tedy oblicze brzytwą, a że tępa szelma, więc łzy ofiaruję za wszystkie grzechy swoje i cudze. Ubieram się w najlepsze szaty, ale przecie pieszo nie pójdę, bo jedno, że deszcz i błoto, a drugie, że tam piechotników nie puszczają. Dawaj tedy karetę! Niech kosztuje co chce, ale niech widzą! Już to oni tu w Wiedniu walą z kopyta, choć szkapiska chude jak szczupaki, a jeden w drugiego na przednie nogi pobożny, i dobrze trzeba trzymać, bo co chwila klęka. Zresztą droga niedaleka, a potem będzie stał za pieniądze, bo wedle zegarka sobie czas policzy. Każdy też woźnica wié, kędy zajeżdżać, bo to policya już im wczoraj ogłosiła, a tu żartów nie znają, więc gdyby zmylił drogę, toby pamiętnego zapłacił na policyi więcej, niż odemnie zarobi.

Jedzie tedy ostrego kłusa i wjeżdża w wielki dziedziniec zamkowy. Tutaj ze czterech stron patrzą na cię okna w cztery piętra. Na lewo jest rząd okien pierwszego piętra, które mają tylko po jednej wielkiej, kryształowej szybie. To są pokoje cesarskie. Tam Najjaśniejszy Pan mieszka i tam daje audyencye, czyli posłuchania i to już od rychłego rana. Bo Pan to, coby niejednemu mógł służyć za wzór i przykład czynnem i pracowitem, a przedewszystkiem skromnem swojem życiem. Rano wstaje już o piątej. O pół siódmej słucha codzień Mszy św. Potem czyta, pisze i pracuje, a od dziewiątej rano już daje posłuchanie: ministrom, jenerałom i wszystkim, którzy z całego państwa z prośbami przybywają. Te posłuchania trwają trzy godziny, a czasem i dłużej, a przez ten czas Cesarz wcale nie siada, bo stojąc przyjmuje. A co przytem warto wspomnieć, czego żaden inny monarcha nie robi, tj. że od najwyższego dygnitarza czyli dostojnika aż do najniższego poddanego, ma każdy przystęp do Najjaśniejszego Pana. Toć ja sam zapisałem przed kilku laty do audyencyi czyli posłuchania ubogą wiejską kobiecinę z Galicyi, która w serdaczku, z koszyczkiem na ręku, przed Cesarza wpuszczoną została. Wysłuchał, bo i nasz polski język rozumie. Więc też w całej Austryi nie masz nikogo, coby nie miał czci i uwielbienia dla takiego monarchy i on też nie potrzebuje lękać się o swoje życie, bo wié, że mu nic nie grozi. Przez ten zamek cesarski przechodzą ludzie, przejeżdżają wozy i powozy, i przez myśl nawet nie przejdzie nikomu, żeby bronić dostępu, jak n. p. w Gatczynie, gdzie cara musi strzedz tajna i jawna policya i chwyta każdego, kto się do zamku zbliży. Tu we Wiedniu jest wprawdzie odwach na dziedzińcu zamkowym, ale to tylko dla parady się dzieje. Co dzień też w południe gra tu muzyka i tłum ludzi się schodzi, żeby ładnego marsza wysłuchać.

Teraz odwach wystąpił pod bronią, konni żandarmi i gwardziści wskazują drogę, którędy mają odjeżdżać powozy. Zajeżdżamy w bramę drugiego dziedzińca i tu w otwarte podwoje, trzeba wysiadać. Sień wspaniała, schody pokryte kobiercami, przeróżne kwiaty zagraniczne poustawiano dla ozdoby: idziesz jak w kościele. Ze schodów na prawo wskazują drogę do wiel-

kiej sali, potem do drugiej, trzeciej, a co jedna to ładniejsza i ozdobniejsza. Wielkie, że choć karetą nawrócić. W czwartej dopiero sali zatrzymują się wszyscy.

Tu zbierają się wszyscy posłowie, bo obie Izby poselskie są tu wezwane. Stara szlachta i dworzanie cesarscy, wielkie pany i książęta, hrabiowie i margrabiowie, członkowie starych rycerskich zakonów, co powstały w średnich wiekach na obronę chrześcian, pielgrzymujących do Ziemi świętej, poubierani w przeróżne stroje i zbroje: białe, czarne, czerwone, granatowe, od złota, srebra i drogich kamieni błyszczące: wszystko to miesza się w jeden różnobarwny tłum strojny i zbrojny. Ale najstrojniej wyglądają nasi panowie i szlachta w kontuszach i żupanach różnobarwnych, z karabelami u boku, w słuckich pasach i kołpakach z czaplemi piórami, w rysich szubach i dołmanach, aż chwaszczy od atłasu a lśni od guzów i spinek brylantowych. Nie brak też biskupów i duchownych, a jest nawet i kardynał w purpurze. To brat ministra sprawiedliwości hr. Schönborna, Arcybiskup Pragi. Przystojny, wysoki, wysmukły mężczyzna, jeszcze młody, bo lat ma najwięcej 45. Trzyma się prosto, minę ma pańską, ale uprzejmy bardzo. Życzyłem mu, żeby jego dyecezany, co się Młodemi Czechami przezwali, chcieli się ustatkować nieco, a mianowicie żeby Husa heretyka, co go w Kostnicy na Soborze spalono, tak bardzo sobie nie zachwalali, bo co prawda, niema też i po co. Uśmiechnął się smutnie i powiedział, że jako każdy ma swego mola, co go gryzie, tak i on bez tego być nie może. Pewnie, że to mól niemały, gdy tylu posłów wybrano w czeskim kraju, co z góry oświadczali, że nie chcą, aby w szkołach religia była podstawą wychowania dzieci, a wielbią heretyka, który tyle nieszczęść na ich kraj sprowadził.

Gwar coraz większy panuje w tej sali, bo przy takiej ciżbie, choćby każdy cicho rozmawiał, gwar być musi. Tymczasem zbliża się południe i dają znak, żeby wchodzić do sąsiedniej sali przez dwoje powoi, na rozcież otwartych. Izba panów wchodzi lewemi podwojami, Izba poselska prawemi. Sala ogromna, we dwa dwa piętra, ale mogłaby być większa jak na tyle luda. Dlatego też Cesarz buduje teraz nowe skrzydło zamkowe, a to głównie dlatego, żeby mieć salę odpowiednią dla takich przyjęć uroczystych. Pracują nad tym gmachem już rok czwarty, a dopiero w piętro dźwignęli tę budowę, ale jej też nie lepią, tylko z ciosowego kamienia stawiają mury setne. Będzie to gmach nielada, ale też zacne pochłonie krajcary, bo coś na miliony koszta obliczono. No, ale ludziska zarobią przy tem na chleb.

W tej sali, do której nas teraz wpuszczono, jest na wprost owych drzwi podwójnych, przez któreśmy weszli, ustawiony tron dla Cesarza. Na kilku stopniach okrytych kosztownym kobiercem stoi krzesło wspaniałe, a obok stolik mały, złocisty. W górę pnie się baldachim ze szkarłatnego aksamitu, od złota kapiący, u góry ozdobiony pióropuszami ze strusich piór. Po lewej i po prawej stronie przy ścianach wywyższone siedzenia odgrodzone jakby płotem. Wchodzi się tam z boku. Tutaj już oddawna pozasiadały przeróżne panie, jako że to płeć ciekawa i wszędzie być musi. Różne tam są między niemi: ładne i brzydkie, młode i stare, jednem słowem: jak je Pan Bóg stworzył, tak je ma. Ale za to wystrojone wszystkie pięknie, boć biednych niema

Przygoda w podróży.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia

przez Stacha z Zamiechowa.

Przed kilkunastu laty dla niektórych interesów przedsięwziąć musiałem podróż do Kijowa. Zima była niestała a sanna jeszcze nieusłana, choć byliśmy w połowie stycznia. Aby tę podróż łatwiej odprawić, umyśliłem jechać dwiema lekkiemi saniami, po parze koni w każdej. Dnia 13go stycznia wyruszyłem z domu. Tego dnia właśnie znaczna była odwilż i zdawało się na śnieg zanosić. Minąwszy Winnicę, wjechałem trzeciego dnia w stepy niedaleko Skwiry. Wtem zerwała się wieczorem silna zawierucha, która kurząc mroźnym śniegiem, śladu dostrzedz drogi nie dawała. Na moje nieszczęście ustały konie w drugich saniach, na których jechał kucharz z lokajem, było na nich więcej pakunku aniżeli na tych, w których sam siedziałem w towarzystwie młodego furmana. Wołałem na tamtych, żeby pospieszali jak mogli, ale wpół kwadransa później, obejrzawszy się poza siebie, już i ludzi i sani nie widziałem wcale. Kazałem zawrócić, żeby się złączyć z nimi, wszakże nadaremnie.

Z kierunku wiatru, który nam wiał z prawego, to znowu z lewego boku, poznać mogłem, żeśmy błądzili. Wołaliśmy obadwa z furmanem ile nam głosu stało, ale szum wichru głuszył nasze krzyki.

Widząc, że nie było sposobu złączyć się z moimi ludźmi, kazałem wolno puścić lejce koniom w nadziei, że przyrodzonym instynktem, jednego kierunku trzymać się będą i zaciągną nas bądź do wsi, bądź do jakiej sterty siana, które tam gęsto po stepach stawiają. Przez dwie godziny błądziliśmy tak po polach, przejeżdżając przez niwy burzanem zarosłe, albo w jesieni zorane. Nie kazałem napędzać koni w obawie, aby bezdrożą znużone nie ustały nam także. Nagle atoli spłoszyły się i zaczęły cwałować po grudowatej roli, omal że nie wywróciwszy sanek. Przeraził mnie żałośny jęk zająca żywcem rozrywanego. Miałem strzelbę podwójną z sobą i chciałem dać z niej ognia do wilków, ale ciemność i śnieżnica skryły ich przed nami. To zły znak — rzekł

między niemi, a którażby się stroić nie lubiła, gdy ma na to!

Tu znowu gwar się wszczął na nowo, a zdaje mi się, że te licznie zebrane panie także nie milczały!.. Ale nagle nastała cisza: dano znak, że monarcha już nadchodzi. Wtem przez ciszę uroczystą uderzył w okna sali spiżowy głos dzwonów, bo w całem mieście znowu dzwonią po wszystkich kościołach, jakby na uroczyste nabożeństwo: to znak, że w tej chwili władca Austryi zasiędzie na tronie i jako pan do swoich poddanych przemówi, a wolę im swoją objawi.

Orszak cesarski kroczy przez szereg komnat. Słychać miarowe kroki, rycerskie ostrogi pobrzękują, ale jeszcze ich nie widać za nami, bo wejdą temi samemi drzwiami, któremi nas wpuszczono. W tej chwili wznosi marszałek Izby panów hr. Trautsmansdorf okrzyk na cześć Cesarza. I znowu powstaje mały Babel, bo Niemcy wołają: *hoch!* Polacy: *niech żyje!* Czesi: *slava!* Kroaci: *żywio!* Rusini: *slawa!* a że i Węgrzy tu są, więc wołają: *elyen!* Ale to nic nie wadzi nikomu, że każdy w swoim języku wywołuje cześć monarchy, bo owszem on to sprawił, że każdy naród w Austryi może swoim językiem swobodnie mówić w szkole, w urzędzie, w sądzie i w kościele, więc nic dziw, że w tylu przeróżnych językach mu życzą i krzyczą, żeby żył w długie lata!

Wchodzi wreszcie cały orszak na salę. Ostatni idzie sam cesarz. Wpatrzyłem mu się w twarz, bo tuż koło mnie przechodził. Od roku nie widziałem go z bliska, ale ten rok wyrył się głęboko na cesarskiem obliczu. Dolna szczęka zdaje mi się, jakby obwisła, jakby opadła nieco. Bolesne kurcze musiała przechodzić! Ale też nie dziw! Ta straszna śmierć syna w zeszłym roku, musiała zostawić ślad niezatarty na ojcowskiej twarzy. A choćbyś człeku był i z kamienia, to musi tobą wstrząsnąć ta myśl, ile to serce ojcowskie musiało przecierpieć i przeboleć! Cesarz kroczy jeszcze prosto, po wojskowemu, patrzy bystro, ale nie pysznie. Głowę ma mocno poszroniałą, włos znacznie przerzedzony, a idąc, trzyma głowę nieco zwieszoną naprzód. Ba! małoż to cięży na tej głowie!

Doszli wreszcie do tronu, rozstąpili się na prawo i na lewo. Cesarz usiadł na krześle pod baldachimem. Tuż przy prawym boku, na drugim stopniu tronu, stanął wielki marszałek nadworny z obosiecznym mieczem w dłoni. Trzyma go przed sobą, na znak, że tu pan życia i śmierci przemawia. Za dawnych czasów, przed polskim królem, nosił miecz taki, krakowski kasztelan. Po lewej ręce stanął wielki podkomorzy nadworny i trzyma berło państwa. Obok, z jednej i drugiej strony stanęli rzędem z dobytemi mieczami, kapitanowie gwardyi i jeneralny adjutant cesarski. Przed nimi stanęli arcyksiążęta po prawej, a ministrowie po lewej stronie tronu, wedle godności i starszeństwa, im godniejszy, tym bliższy Cesarza. Najstarszy z ministrów, bo ich prezydent, jest hr. Taaffe. Ten też pokłoniwszy się nizko, podał Cesarzowi papier, który w ręku trzymał. Cesarz nasadził kapelusz na głowę i zaczął czytanie mowy tronowej.

Ten kapelusz z zielonemi piórami ma także swoje znaczenie. A najpierw, Cesarz sam siedzi, a wszyscy stoją, bo on Pan, a wszyscy jego poddani. On kapelu-

---

mój furmanek — kiedy komu zając drogę przebiegnie! Chcąc go pocieszyć, odpowiedziałem, że nam drogi zając nie przebiegł, bo go przed nami wilcy porwali. Biedny chłopiec oprzeć się nie mógł tęsknocie, którą ten przesąd, a może i przeczucie w niem budziły i płakać zaczął rzewnie. Naraz podniósłszy się na sankach, patrzeć zaczął błędnie to w prawo, to w lewo i po chwili zawołał radośnie: Ach! światło widzę; ale to być musi jeszcze daleko. — Skierujże konie, rzekłem, na to światło i prosto jedź w to miejsce. Furman zwrócił konie na lewo i w tym kierunku jechaliśmy kilka minut. Nagle poczuliśmy, że się spuszczamy w jar głęboki i nim furman zdołał konie wstrzymać, już byliśmy w nizinie tego jaru. Zawierucha naniosła tam wiele śniegu i konie aż po pas w nim się zakopały.

Zeskoczyłem ze sanek, furman zrobił toż samo, mówiąc mi, że światła nie widzi.

— Obaczymy je, byleśmy wyszli na górę — odpowiedziałem, i pieszo poszedłem przed końmi. Poczułem, żeśmy przebywać musieli staw albo rzekę jaką w tym jarze, bo lód skrzypiał i zdawał się uginać pod mojemi nogami. Naraz koń jeden zapadł po szyję prawie, a wyrywając się silnie z tego trzęsawiska, porwał postronki od uprzęży. Ten nowy przypadek zatrwożył i zmęczył nas niezmiernie. Zbliżywszy się, aby konia uchwycić za cugle, wpadłem w to samo trzęsawisko i przemokłem aż do piersi. Kiedym się wydobył z tej jamy, zrzuciłem futro z siebie, aby pomódz furmanowi, który jednym koniem już był sanie wyprowadził pod górę i lejcami związywał jak mógł porwaną uprząż.

W jarze nie czuliśmy silnego wiatru, który gwałtownie wiał znowu pod górą. Śnieg już przestał był padać, ale mróz się wzmagał i w kilka chwil zmoczona moja odzież lodem stanęła na mnie. Jednę rękawicę zgubiłem kiedym się z trzęsawiska dobywał; nie wracałem się po nią, choć czułem, że mi ręka trętwiała od zimna.

W tem położeniu opuściła mnie odwaga, zdawało mi się, że nie przebędę tej nieszczęśliwej nocy i narzekać zacząłem na moje przeznaczenie. Tu mój furmanek wytrwalszym się pokazał odemnie. Prawda, że nie używszy jak ja lodowej kąpieli, nie czuł zimna, które mnie przejmowało.

szem nakrył głowę, choć drudzy stoją z odkrytemi głowami, a to przecie nie z lekceważenia lub pogardy czyni, tylko na znak władzy. Ale mnieby się zdawało, że to nasadzenie kapelusza, to ma jeszcze inne znaczenie, a mianowicie, że w tej Austryi różne ludy i kraje posyłają swoich posłów, a każdy ma się upominać o swoje. Kipi więc i wre, jak w garnku, w tej Radzie państwa, a Cesarz nakrywa kapeluszem jedności wszystkich razem, żeby każdy sobek pamiętał o tem, że nie on sam w państwie, tylko że i drudzy żyć chcą także. Bodaj pod tym kapeluszem wszystkim równie dobrze było.

Taki też był sens tej mowy, którą Najj. Pan odczytał w sobotę. Powitawszy wszystkich cesarskiem pozdrowieniem, na to zwracał uwagę, że bieda jest wielka, więc zawieście na kołku wszelakie zwady, a nad tem głównie radźcie, jakby dać radę biedzie. Zresztą o tej mowie będę pisał jeszcze, a dziś więc tu przestanę na tem.

Skończyło się czytanie. Cesarz wstał z krzesła, powtórzył się okrzyk na cześć jego i znowu orszak ruszył tą samą drogą. A jako kłosy na łanie, tak kłaniali się wszyscy przed monarchą, gdy koło nich przechodził. Orszak wreszcie znikł w dalszych komnatach, ale dzwony kościołów w Wiedniu brzmiały jeszcze przez długą chwilę. Daj Boże, aby dzwoniły na lepsze czasy, na spełnienie wszystkich życzeń i obietnic Cesarza.

Z tem życzeniem Panu Bogu was oddaję

Jakób z pod Wawelu.

O Cesarzu.

Znacie cesarza?! Wielu z was pamięta jak przed dziesięcioma laty przyjeżdżał do Galicyi, a po drodze na stacyach kolei stały tłumy ludu i witały z zapałem nadjeżdżającego Franciszka Józefa. W Krakowie czekała go wielka owacya. Ludność kilkudziesięciotysiączna stała na ulicach, którędy przejeżdżał, w rondlu bramy Floryańskiej zgromadziło się duchowieństwo, przedniejsi posłowie i obywatele, podawali mu chleb i sól, wdzięcznie dziękując za przywrócenie w szkołach i urzędach polskiego języka. Była to pamiętna chwila, kiedy wszystkie stany naszej ziemi zwracały się do dobrego monarchy, za którego panowania i pańszczyznę zniesiono i wprowadzono lepsze prawa, dając ludności rządzić się samodzielnie w gminie, powiecie i kraju, a także urządzono szkół więcej i lepszych, pozwolono używać wolności wszelakiej, a wreszcie nadano ludziom moc wyboru posłów do sejmu i do Rady państwa, którzy mogą teraz stanowić nowe prawa.

Dawniej tak nie było w Austryi: wszystkie prawa pochodziły od cesarza; domagać się zmiany takich praw, które były dla ludności niewłaściwe, nie było wolno, pisać o potrzebach kraju zabroniono, szkół wiejskich nie było, wszędzie w sądach i urzędach mówiono po niemiecku, w szkołach uczono w tym języku, nie wolno było ani pism ludowych ani czytelń zakładać. Dopiero obecnie panujący cesarz Franciszek Józef w r. 1860 a więc przed 30 laty wszystko to zmienił z własnej woli, bo on sam wówczas prawa stanowił i od

---

— Niech pan siada na sanki — rzekł do mnie — okryję pana wilczurą i konie wyprowadzę na górę; światło, któreśmy spostrzegli, musi być po prawej stronie i zapewne na górze jest karczma, którą w tych stepach zwykle stawiają blisko wody.

Posłuchałem furmana, siadłem na sanie, ale okrycie nóg wilczurą nie zmniejszyło przeraźliwego zimna, które na wskróś mnie przenikało.

Sapiąc, ciągnęły nas pod przykrą górę utrudzone konie; stanęły nakoniec, a furman próżno głosem i biczem ich zagrzewał.

Leżałem na saniach bez czucia prawie, a otrętwiałość i mróz sprowadziły już ten sen, który zwykł poprzedzać śmierć ginącym z zimna. Wtem poczułem, że strzelba gniotła mię z boku i machinalnie pociągnąłem rękę moją ku niej. Postanowiłem z niej skorzystać — może strzał będzie usłyszany przez kogo. Podniosłem się tedy z trudnością, wziąłem strzelbę i ostrzegłem furmana o mojem przedsięwzięciu. Ledwo strzeliłem, konie jakby czarodziejską siłą ożywione, cwałem wyciągnęły nas na górę.

Skorośmy wyjechali na górę, spostrzegliśmy w rzeczy samej światło po prawej ręce, skierowaliśmy konie ku niemu i o dwieście kroków ujrzeliśmy lichą karczemkę, która nam w onej chwili pożądańszą się zdała niż najwspanialsze gmachy.

Wracam atoli do rzeczy. Chrapliwe szczekanie czarnego kundla oznajmiło gospodarzowi nędznej tej chałupy nasze przybycie.

Człowiek wielkiego wzrostu i pleczysty wyszedł z latarką w ręką, którą mi zbliżył do oczu. Odziany był w krótki kożuch, owity czerwony pasem. Rysy jego twarzy były nieprzyjemne, z pod dużej czarnej czapki spadały mu z boku włosy rude. Mowa zakrawała na żydowską tak, że łatwo się było domyślać, że to był wychrzta. Opowiedziałem mój przypadek i dodałem, że nie mogąc dalej jechać, bo nie znam drogi i odbiłem się od moich ludzi, przenocować zatem muszę w jego karczmie. Tu mój furman odezwał się, że mu się zdawało słyszeć dzwonek, (który na przypadek ludzie moi mieli na drugich sankach) i że zapewne muszą być oni w tym jarze, któryśmy przebyli.

tego dopiero czasu zapanowała w Austryi wolność, to też ludność cała jest mu za to wdzięczna i okazuje mu wiele przywiązania. Szczególniej zaś my Polacy mamy mu za co dziękować, bo tu w Galicyi jest całkiem inaczej, jak naszym rodakom pod panowaniem cesarzy rosyjskiego i niemieckiego.

Tak się bowiem stało, że nad polską ziemią panuje trzech cesarzy: austryacki, rosyjski i niemiecki. Są jednak takie kraje, gdzie na czele państwa stoi nie cesarz tylko król, albo książę, a bywają i takie, w których nie ma panującego, tylko ludność co lat kilka wybiera sobie naczelnika, którego zowią prezydentem. Taki kraj, w którym nie ma panującege zowie się Rzeczpospolita, tak jest teraz u Francuzów, u Szwajcarów i w Ameryce.

Tam gdzie jest panujący, wszystko jedno jaki nosi tytuł, zawsze on stoi na czele państwa i ma jednaką władzę. Tytuł ma tylko znaczenie różne w dostojeństwie. Cesarzem zostać może ten tylko, komu podlega wiele państw i który ma wielką potęgę. Król jest już panujący nad jednem państwem, a książęciem zowią panującego nad państwem słabem i małem.

Różnie ludzie wyobrażają sobie co robi cesarz. Jedni sądzą, że taki bogaty pan pewnikiem nic nie robi, inni myślą, że cesarz nietylko ma dużo do roboty, ale że wszystko może i na biedę każdą znajdzie u niego pomoc, że on co chce zrobić może, a nawet są tacy co sobie myślą, że im źle na świecie, bo cesarzowi nikt o tem nie powie, jaka im bieda dokucza.

Po części jedni i drudzy mają trochę słuszności, tylko że każdy z tak mówiących widzi jednę stronę obrazu, a nie widzi co na drugiej namalowano. Cesarz jest bogaty, ma swój znaczny majątek, i lubi z niego dobrze ludziom robić. Czytamy w gazetach codzień prawie, że cesarz przyznał jakiej gminie to 100, to 50, to 200 zlr. na budowę kościoła, szkoły czy szpitala, a jak spadnie na ludzi powódź czy ogień, to nieraz tysiące cesarz przysyła na zapomogę. Cesarz jednak nie mógłby opędzić wszystkich potrzeb, gdyby mu nie przeznaczono pewnej części dochodów, jakie państwo czerpie przeważnie z podatków. Cesarz musi często przyjmować innych monarchów, posłów od nich, różnych wysokich urzędników i musi utrzymać swój dwór i dwory książąt należących do rodziny swojej, i na to pobiera na rok 4,650.000 zlr. z dochodów państwa austryackiego, a drugie tyle z Węgier. Wydaje się to bardzo dużo, ale istotnie przy ogromnych wydatkach, jakie cesarz musi ponosić, to wcale nie wiele.

Z tego jednak, że na wydatki cesarskie idzie pewna część podatków przez ludność płaconych, każdy łatwo wyrozumie, że cesarz nie może wszelkiej nędzy zapobiedz, chociaż w każdej bierze udział, chociaż przykładem własnym zachęca innych do zaopiekowania się biednymi. Na biedę pomoc Boska, a potem ludzka jest potrzebna, ale bez własnej pracy usunięta być nie może.

Cesarz stoi na czele państwa. Widzieliście go w mundurze, bo jest naczelnikiem wojska i może wojskiem swojem swobodnie zarządzać, mianuje oficerów, organizuje wojsko i może wypowiedzieć wojnę obcemu państwu, kiedy tego widzi potrzebę.

Cesarz rządzi w państwie, ale naturalnie nie może

Sądziłem, że to, co on uważał jako głos dzwonka, było dźwiękiem mosiężnych kółek przy chomątach koni, co nas przywiozły, ale furman nie czekając mego rozkazu pobiegł rzeźko „naprzeciwko“ — jak rzekł — „naszych ludzi“. Ja tymczasem wziąwszy z sobą strzelbę, wszedłem za karczmarzem do szynkownej izby. Cztery gołe ściany, stół, na którym ciemno palił się łojowy kaganek, i dwie ławki przy stole składały sprzęty tej izby. Poczułem przykry swąd z pieca, który wcześnie zatkać musiano, i prosiłem gospodarza, żeby go kazał otworzyć i ogień rozpalić, abym przemokłe odzienie mógł przy nim osuszyć.

— Ugościmy tu pana jak się należy — rzekł z przykrym uśmiechem i zawołał na żonę, aby piec odetkała, a na dziewczynę, aby suchego chrustu przyniosła i ogień rozłożyła w piecu. Weszło do izby nędzne dziecię, ośmio lub dziewięcioletnie, (jak z pozoru sądzić mogłem) boso i w brudnem, prostem odzieniu, z wiązką burzanu na plecach. Stanęła ta dziewczyna przy otworze pieca i ogień w nim rozniecać zaczęła. Zapytałem karczmarza, czy dostanę piwa, chleba i jaj świeżych?

— Piwa tu nie trzymam — odpowiedział — jest wódka dobra i żona moja ma kołduny (pierogi), każę je panu przynieść. To mówiąc, wyszedł.

W kilka minut potem weszła sucha i smagława kobieta; w blaszanym kubku przyniosła wódkę i kilka pierogów z mięsem na drewnianym talerzu. Postawiła to na stole i obracając się do dziewczyny, krzykliwym głosem powiedziała jej z półruska:

— Po trochę *ładaszczyco*, kładź burzanu, żebyś dymu nie narobiła w izbie.

Dziewczyna spuściwszy oczy, nic nie odpowiedziała. Zapytałem karczmarki, jak ztąd daleko do Skwiry.

— Trzy mile.

— Do kogo ta karczma należy?

— Nie wiem, jak się ten pan nazywa, od którego mąż mój najął.

— Co za nią płacicie?

— *Bohato hroszi* (dużo pieniędzy) — rzekła i odeszła.

Zrzuciłem futro i przechadzałem się niespokojny,

wszystkiego sam robić, mianuje więc do pomocy swojej ludzi zaufanych, których zowią ministrami i oni zarządzają w imieniu cesarza, a zawsze za jego zgodą. Jak cesarz czego nie chce, to ministrowie nie mogą postąpić wbrew jego woli, wolno im tylko prosić cesarza, aby ich uwolnił ze służby, gdyby ze swojem przekonaniem nie mogli pogodzić tego, co cesarz żąda.

Dawniej cesarz sam mógł stanowić wszelkie prawa, teraz, kiedy wybieramy posłów, każde prawo musi być uchwalone najpierw w Radzie państwa lub sejmie krajowym, ale i ta uchwała nic nie znaczy, dopóki cesarz na nią nie przystanie. Uchwala Rady państwa, aby była ważna, trzeba żeby cesarz podpisał, że się na nią zgadza.

Podpis cesarski daje jej dopiero moc wykonania, zamienia uchwałę Rady państwa czy Sejmu, w prawo obowiązujące, a sam akt podpisania uchwały nazywają sankcyą.

Wszystko zatem w państwie dzieje się za wiedzą i zgodą cesarza, ma więc on bardzo wiele i bardzo ważnych czynności, chociaż sam przecie wszystkiego nie robi, tylko za niego robią ministrowie i inni urzędnicy. Urzędnicy ci załatwiają zwykle sprawy dostatecznie, tylko w bardzo ważnych rzeczach odwołują się do cesarza, jak n. p. kiedy idzie o ułaskawienie kogoś, bo ułaskawić może tylko sam cesarz.

Chociaż cesarz sam załatwia tylko ważne sprawy a o tysiącu drobnych nie wie, to przecież każdemu wolno udać się do cesarza, kiedy czuje się skrzywdzonym przez postanowienie jakiej władzy i prosić, aby cesarz w drodze łaski co zmienił, albo sprawę polecił rozpatrzeć ponownie. Prośba taka idzie do kancelaryi przybocznej cesarza, i jeśli pokaże się, że są słuszne powody, albo że komuś krzywda się stała, cesarz może czasem w drodze łaski zrobić to, o co go proszono, albo poleci raz jeszcze zbadać całą sprawę.

Cesarz jednak nigdy nic nie zarządzi wbrew temu co ustawy postanawiają, bo przy wstąpieniu na tron wykonywa przysięgę, że rządzić będzie zawsze zgodnie z ustawami. Ponieważ zaś osoba monarchy jest tak dostojna, więc z drugiej strony ustawy otaczają go szczególną opieką. Jako naczelnikowi państwa należy mu się cześć najwyższa, w kościołach też modlą się za niego, oddają mu wszyscy honory, a każde nawet tylko lekkomyślne odezwanie się o cesarzu z lekceważeniem, jest surowo karane.

ZIEMIE I GRODY POLSKIE.

II.

Gniezno.

(Dokończenie.)

Wielki ołtarz w głębi kościoła poważnie się przedstawia. Między kolumnami stoją posągi świętych Polski patronów, a więc przedewszystkiem w środku św. Wojciech w biskupim stroju, na prawo św. Stanisław biskup, z lewej strony św. Kazimierz królewicz, dalej św. Radzyn i św. Bogumił, arcybiskupi gnieźnieńscy i następcy św. Wojciecha, w górze Wniebowzięcie Naj-

---

że nie widać było mego furmana, gdy wtem gospodarz znów wszedł do izby.

— Nie wiedzieć gdzie się podział furman pański rzekł do mnie, poszedł niby naprzeciw pańskich ludzi i dotąd go niema.

— Gdzieby się miał bawić? zapytałem zdziwiony.

— Czart go nie porwał — odpowiedział ponurym głosem — już wysłałem za nim mego parobka.

Na te jego słowa stanąłem jak wryty i przeraziło mnie przeczucie, żem wpadł między zbójców. Chciałem go zapytać, co się dzieje z końmi i sankami, gdy wyszedł, nie zostawiwszy mi czasu na to zapytanie. Myśli posępne i jedne od drugich okropniejsze cisnęły się do mojej głowy. Nie widziałem sposobu, jakby wyjść z tej piekielnej jamy. Spojrzałem przez okno, niebo się wyjaśniło i księżyc już zeszedł. Patrzałem na zegarek, właśnie minęła dziesiąta.

Ta nędzna dziewczyna siedziała przy piecu i po trochę burzanu na ogień rzucała. Machinalnie zbliżyłem się do niej i zapytałem, jak się nazywa. Nic mi nie odpowiedziała. Czy była córką karczmarza? Nic także nie rzekła, tylko zaprzeczając, ruszyła głową. Chcąc ją ośmielić, wziąłem pieróg ze stołu, dałem go jej mówiąc: Weź to i jedz, moje dziecię. — Nie podniósłszy oczu, wzięła pieróg i zjadła go skwapliwie. Widząc to, wziąłem drugi pieróg i dałem jej, głaszcząc ją po głowie.

Biedne dziecię zaczęło płakać. Zdziwiony zapytałem, z jakiej przyczyny płacze. Obejrzawszy się nieśmiało na wszystkie strony, rzekła po cichu:

— Biedny panie! ty mi dajesz pierogi, a ciebie tu zabiją.

Na te słowa włosy na głowie mi się zjeżyły z przestrachu i trwogi. Chciałem się więcej wypytać dziewczyny, gdy weszła karczmarka i uderzywszy dwa razy w twarz biedne dziecię, wyprowadziła ją za włosy z izby, mówiąc:

— Idź spać *ladaszczyco*, kiedyś już zapaliła w piecu!..

(Dok. nast.)

świętszej Panny. Prześliczny krzyż srebrny i wielkie srebrne lichtarze, dar kardynała Radziejowskiego, dopełniają ozdoby wielkiego ołtarza. Opodal z dwóch stron ciągną się bardzo piękne stalle czyli ławki kanonickie, roboty gdańskiej, gdzie niegdyś najwspanialsze dokonywano rzeźby w drzewie. W stallach tych zasiadało niegdyś do dwudziestu czterech kanoników, siedmiu prałatów gnieźnieńskich, opat trzemeszeński, opat Benedyktynów z Mogilna i opat Cystersów z Lędu, oraz innych uprzywilejowanych kapłanów. Dziś z wielu bogactw obdarta świątynia widzi też mocno uszczuplony poczet sług Bożych, sprawujących tu najświętsze Tajemnice i strzegących chwały Najwyższego.

Szczegółowy opis każdej z czternastu kaplic okalających świątynię zawiódłby nas zbyt daleko. Różnie dostojnicy i dobrodzieje katedry zostawili w nich trwale po sobie pamiątki. Najważniejszymi jednak gnieźnieńskiego kościoła dobroczyńcami była rodzina Łubieńskich, których herb i nazwisko wszędzie tu przypomina ich ofiarność ku ozdobie Domu Bożego. Ród ten licznych dostarczył sług ołtarzom Pańskich, dwóch prymasów, wielu biskupów i kanoników, dobrze wobec katedry gnieźnieńskiej zasłużonych. Łubieńscy mają też tutaj osobną swoją kaplicę, tak samo i Potoccy i inne rodziny po części dziś wygasłe. Osobne nabożeństwo wiedzie pielgrzymów w progi kaplicy św. Krzyża, gdzie się znajduje cudowny wizerunek Zbawiciela Pana. Historya zaś owego wizerunku jest następna: Gdy w roku 1656, w dniu 27go kwietnia, na wieść o nadciągających ku Gnieznu nieprzyjacielskich szeregach wojska szwedzkiego, hetman Stefan Czarniecki, marszałek koronny Lubomirski z duchowieństwem, rycerstwem i ludem sposobili się do obrony, modląc się opodal od grobu św. Wojciecha przed ołtarzem Ukrzyżowanego, spostrzeżono nagle jak w czasie Mszy św., krople krwi spadały z maleńkiego obrazu Męki Pańskiej, na rozłożony poniżej korporał. Usłyszawszy o tym cudzie król Jan Kazimierz uprosił prymasa Andrzeja Leszczyńskiego, aby mu ów obraz przysłał do obozu, w nadziei, iż mu to zapewni zwycięstwo nad nieprzyjacielem. Po szczęśliwem ukończeniu wojny i podpisaniu pokoju w Oliwie, Jan Kazimierz z wdzięcznością odesłał do Gniezna pożyczony sobie na czas potrzeby krajowej obraz, dla którego nowy ustawiono ołtarz i wraz ustanowiono, iż się tu w każdy piątek odprawiać ma Msza św. o Męce Pańskiej, codziennie zaś śpiewać się będzie pierwsza zwrotka powszechnie znanej a rzewnej pieśni: *Zawitaj Ukrzyżowany!*

Nie przeliczyłby, ktoby chciał spisać nazwiska pogrzebanych tu świeckich i kościelnych dostojników. Wprawdzie z trzydziestu sześciu pochowanych tu prymasów i arcybiskupów zaledwie dwunastu doczekało się ozdobnych pomników. Mnóstwo bowiem grobowców w pożarach i klęskach krajowych niepowrotnemu uległo zniszczeniu. Nie wszyscy też następcy św. Wojciecha tutaj swe kości złożyli. Czterech ich umarło za granicą, leżą oni we Francyi i dalekich Włoszech. Ośmiu w różnych stronach Polski zakończyło życie i tam też pochowani zostali. W Krakowie na Wawelu spoczywa ich czterech, a między nimi kardynał Fryderyk Jagiellończyk, brat św. Kazimierza. W Warszawie trzech prymasów ma wieczny spoczynek, w Poznaniu sześciu, w Łowiczu dwunastu. Ale jeśli nie można się dorachować w Gnieźnie całego szeregu następców św. Wojciecha, innych prałatów i dostojników, liczne i nieraz wspaniałe grobowce zdobią niedawną katedrę. Tutaj też odnaleziono przed kilkudziesięciu laty grób Dąbrówki, małżonki króla Mieczysława I, któremu dzielnie dopomagała w nawróceniu Polski na wiarę chrześciańską. Postać jej z marmuru wykuta, zdobi jeden z filarów katedry; kronikarze zaś nasi opowiadają, że ta pierwsza chrześciańska monarchini nasza umarła w Gnieźnie i że tu ją nieutulony w żalu małżonek złożył w wybudowanym przez się na górze Lecha kościele, co się stwierdziło, gdy przed laty, otworzywszy podziemny grób, w trumnie drewnianej znaleziono kości dorosłej niewiasty, kawałki jedwabnej materyi, przepaskę złotem przerabianą i tabliczkę z napisem: *Dąbrówka żona Mieczysława.*

Nie pozostaje nam jak przypomnieć skarby niegdyś przechowywane w zakrystyi katedralnej, które zaledwie dziś z dawniejszych poznajemy spisów, wymieniających dary królewskie w kielichach, relikwiarzach ornatach i kapach. Król Władysław Jagiełło i jego obie małżonki osobliwie wspaniałemi aparatami wzbogaciły gnieźnieńską zakrystyę. Wszystkie te kosztowności przepadły wśród zaburzeń i nieszczęść krajowych tak, iż dziś zostało tu niewiele śladów dawnych dostatków, niewiele zabytków przeszłości. Piękna monstrancya, parę relikwiarzy i krzyżów, kielichów i lamp kilka, ornat zwany św. Wojciecha, kapa roboty i daru królowej Jadwigi z obrazem Trójcy św. wyszytym jedwabiami, oto główne dziś kosztowności gnieźnieńskie. Więcej zachowało się pamiątek w bibliotece i kapitularzu, gdzie mnóstwo szacownych rękopisów i dokumentów pozwala dziś spisywać szczegołowo dzieje prymasowskiej stolicy, czego mianowicie dokonał przedwcześnie zmarły biskup nominat Korytkowski w żywotach arcybiskupów gnieźnieńskich. Są tu i cenne księgi, a między niemi Mszał św. Wojciecha.

Opisawszy tak Wojciechową świątynię, należy nam jeszcze wspomnieć o dzwonie wzywającym pielgrzymów do modlitwy przy grobie św. męczennika. Dwa są w Polsce dzwony, które biją niby sercem kraju i do serc też rzewnym przemawiają dźwiękiem: to stary Zygmunt jęczący w Krakowie z Wawelu, i młodszy, mniejszy, ale niemniej równobrzmiący *Wojciech*, bijący z góry Lechowej w Gnieźnie. Dar to królewicza Władysława,

syna Zygmunta III w roku 1621, kilkakrotnie spękany i napowrót przelewany, stary Wojciech trzeci wiek już z kolei „głosi chwałę Bożą, wzywa do świątyni, rozpędza nawalności powietrzne", jak to opiewa napis na nim wyryty. Oby i inne nawalności, inne przeciwności spadające na ziemię użyznioną potem i krwią św. męczennika, mógł ów dzwon rozpędzić i oddalić, za przyczyną i opieką wielkiego patrona, którego imię nosi, a chwałę głosi od lat blisko trzystu.

Inne jeszcze pamiątki znajdują się w Gnieźnie, obok starożytnej katedry. Jest i kilka dawnych kościołów, z których na osobną wzmiankę zasługuje klasztor Franciszkanek z grobem błogosławionej Jolanty, księżnej wielkopolskiej, a siostry św. Kunegundy, małżonki króla Bolesława Wstydliwego. O tej św. Jolancie i jej gnieźnieńskim klasztorku może wkrótce osobną podamy wiadomość czytelnikom *Krakusa.* Dziś już nam trzeba zakończyć rzecz o grodzie Lechowym, o stolicy św. Wojciecha, o podupadłem dziś miasteczku, które niegdyś było siedzibą pierwszych królów Polski, a obecnie rzadko się ożywia, kilka razy do roku, bądź z okazyi odpustów przywodzących do grobu św. Wojciecha licznych z najdalszych stron pątników, bądź z powodu sławnego jarmarku na konie, który tu co wiosna mnogich przyciąga uczestników. Z wyjątkiem onych kilku dni pobożnej lub świeckiej wrzawy, cicho tu przez rok cały, a ta cisza jeszcze bardziej uspasabia do modlitwy i rozpamiętywania narodowej przeszłości i przykładów pobożności przodków naszych. *M.*

Korespondencye „Krakusa".

Babice pod Chrzanowem.

Wielka uroczystość odbyła się w parafii babickiej dnia 7 kwietnia, której od lat kilkudziesięciu oczekiwaliśmy z upragnieniem, albowiem na pomieszczenie blisko dziesięciu tysięcy parafian, za szczupły mieliśmy kościółek. Jeszcze przed pięćdziesięciu laty zwołał proboszcz ówczesny, ś. p. ks. Lampka konkurencyę w celu obmyślenia środków na rozszerzenie kościoła, wtenczas już ciasnego, jednakże z różnych powodów sprawa tak ważna dla chwały Bożej, w odwłokę poszła aż do naszych czasów i kto wie, jak długo jeszcze byłaby pozbawioną parafia obszerniejszej świątyni, gdyby nie usilne staranie czcigodnego i powszechnie szanowanego Wielm. ks. Piotra Papuzińskiego, dziekana i proboszcza babickiego, któremu Bóg w nagrodę dozwolił wreszcie we wspomnionym dniu ku wielkiej radości całej parafii poświęcić kamień węgielny pod nowo budującą się część kościoła. O godzinie 9-tej odprawił wiel. ks. Dziekan na intencyą szczęśliwego ukończenia budowy solenną mszę, po ukończeniu której zgromadzonemu licznie ludowi, tak ze swojej jako też z sąsiednich parafij, przedstawił dokładnie historyą kościoła babickiego; następnie udał się w procesyonalnym pochodzie ku miejscu przeznaczonemu na uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego. Nie do opisania wzruszający był widok, gdy po odmówieniu rytualnych modlitw zstępował sędziwy kapłan dla odbycia właściwej ceremonii na spód półczwarta metra głębokich fundamentów, skrapiając je radosnemi łzami; gdy lud ważnością obrzędu przejęty, na trzykrotne uderzenie młotkiem o kamień węgielny, wybuchnął głośnym płaczem, nie mogąc dłużej wstrzymać wezbranego uczucia religijnego.... Z ukończeniem aktu poświęcenia przez wiel. ks. Dziekana, upoważnionego do tej czynności pismem J. E. ks. Kardynała, w pięknej przemowie na temat: „Dom Ojca mojego jest domem modlitwy," wykazał wiel. ks. wikary ważność i potrzebę świątyń Pańskich, po wysłuchaniu czego w skupieniu ducha powrócił lud wśród śpiewu pieśni nabożnej na czele kapłanów napowrót do kościoła, gdzie jeszcze raz wzniesiono gorące modły do Boga, aby pozwolił czcigodnemu ks. Dziekanowi szczęśliwie dokończyć zaczętego dzieła, na które nie żałuje ani wątłego zdrowia, ani osobistych dochodów. Za ofiarnością swego zacnego Pasterza spieszą parafianie ochotnie z oddaniem ostatniego grosza wdowiego, pomimo że ciężkie są czasy obecnie na włościan, a suma znaczna, według kosztorysu 22.000 złr. wynosząca. Obszar dworski Jankowice, od kilku lat własność izraelity, oraz zarząd lasów Lipowieckich obszar 7000 morgów, własność hr. Donnersmarka, usunął się zupełnie od współudziału według prawa. W. P. Wysocki, właściciel Lipowca, nie mieszkając tutaj, mógłby także nie należeć do konkurencyi, a przecież wypłaca część przypadającą na jego obszar. Ś. p. Józef Patelski, kapitan wojsk polskich, rozparcelowawszy ongi swój obszar Kwaczała między włościan, przyczynił się również dla dobra kościoła przez nowych właścicieli polskich...

Przesyłając niniejszą korespondencyę o poświęceniu kamienia węgielnego, mam w Bogu nadzieję, że będę mógł niedługo zawiadomić Szanowną Redakcyę o szczęśliwem ukończeniu budowy domu Bożego.

Z uszanowaniem

St. Deszcz.

Piszą nam z Rzeszowskiego: Jest pewna wioska w pięknem położeniu, co ma wzgórza, rzeczkę, staw, młyn i kilkadziesiąt osad włościańskich. Niektórzy gospodarze mają się w niej wcale dobrze, choć osady się rozdrobniły z trzydziestu numerów na sześćdziesiąt kilka domostw. Tylko o młodzieży tamtejszej jakoś niedobrze słychać. Ktoś powiedział, że z niej chyba dzicy ludzie będą. O oświacie nikt słuchać nie chce. Niektórzy umieją czytać jako-tako, ale nie dbają o korzyść z czytania i mówią: „Abo to ja pan, żebym czytał książki czy ga-

zety!“ Ale co do ubrania, to żeby tylko mogli, toby panów zakasowali. Ojcowie chodzili w sukmanach swojej roboty, w lecie w kapeluszu słomianym, a w zimie w czapce baraniej; ale ich synowie latem i zimą chodzą w kaszkieciku i kaftaniku barchanowym czerwonym, i kołnierzyki noszą. Szkoda tylko, że wyglądają w tym przyodziewku jak półtora nieszczęścia. A co papierosy, to z gęby im nie wylatują. Co wieczór schodzą się do jednej chałupy, ale tam o niczem dobrem nie pogawędzą, nie potrafią zabawić się po ludzku, tylko wygadują różne głupstwa, nie zważając ani na dziewczęta, ani na małe dzieci; największą zaś ich rozrywką jest robić zakłady pomiędzy sobą, ile który potrafi zjeść albo wypić. Mieszka w tej wsi żyd, co u niego wszystkiego dostanie; więc kupują od niego 30 bułek, parę śledzi, pół kwarty wódki — i to jeden obowiązuje się zjeść i wypić duszkiem. Żeby mieli trocha rozumu, wiedzieliby, że na takie zakłady szkoda nietylko grosza, ale i zdrowia. Komu Pan Bóg zdrowie dał, to nie na to przecie, żeby niem po głupiemu się przechwalał i na złe go używał. *B. S.*

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

W Berlinie wyszło rozporządzenie ministeryalne które dozwala nauczycielom udzielać po za godzinami szkolnemi języka polskiego. Również polecono, ażeby zbadano gdzie jest potrzeba przywrócenia języka polskiego w nauce religii. Jest więc nadzieja, że dzieci nasze pod prusakiem będą się uczyć prawd wiary w ojczystym języku. Nie jest to wprawdzie wiele, ale zawsze dobrze, że nam choć to przyznają. Może później rząd zrozumie, że w ogóle w szkołach powinno się uczyć po polsku, co oby Pan Bóg dał jak najprędzej.

Austrya. Rada państwa wybrała komitet, który ma się naradzić jak napisać adres do Najjaśniejszego Pana w odpowiedzi na jego mowę tronową. Kiedy komitet się zebrał, jedni chcieli, aby projekt adresu napisał dowódca liberałów Plener, a drudzy pragnęli, aby to uczynił pan Biliński poseł do Rady państwa ze Stanisławowa. Przyszło do głosowania i większość zgodziła się na pana Bilińskiego.

Rada państwa ma potrwać tylko do końca czerwca i uchwalić adres i budżet. Delegacye węgierska i austryacka zebrać się mają dopiero we wrześniu a sejmy krajowe dopiero w październiku, tak że Rada państwa rozpocznie na nowo obrady w połowie listopada.

Mówią że utworzone zostanie nowe ministerstwo komunikacyi, to jest wszelkich dróg w państwie, kolei żelaznych i żeglugi po rzekach. Ministrem tym ma podobno zostać ten sam pan Biliński, co teraz pisze adres do cesarza.

Niemcy. Niechęć wzajemna między cesarzem Wilhelmem a Bismarkiem ujawnia się coraz bardziej. Po obchodzie urodzin Bismarka, któremu cesarz powinszowania wcale nie przysłał, obchodził taką samą uroczystość dowódca części wojsk niemieckich, Walderze, który niedaleko od Bismarkowskiej siedziby stoi kwaterą Otóż o jego urodzinach cesarz nietylko pamiętał, ale winszował mu listem własnoręcznym.

W tych dniach cesarz jeździł do przystani morskich nad morzem Bałtyckiem — Szczecina i Kielu. Wracając przejeżdżał koło dworu Bismarka, gdzie też pociąg się zatrzymywał. Bismark jednak na spotkanie nie przybył.

W tymże czasie Bismark zatelegrafował do swych przyjaciół w Berlinie, że chce zasiadać w sejmie niemieckim i będzie sobie uważał za wielki zaszczyt, jeśli go który okrąg na swego posła wybierze. A więc go wybierano, ale nie wybrano, bo trzech było kandydatów i żaden większości nie miał. Będą więc ściślejsze wybory.

Rosya. Zmarła nagle, a podobno się zabiła czy otruła, wielka księżna Olga, rodzona siostra cara. Syn jej ożenił się bez wiedzy cara z panną nie należącą do żadnego panującego rodu. To tak cara rozgniewało, że kazał go wykreślić z wojska a matce kazał wyjechać do Krymu. Nielaska ta zmartwiła bardzo biedną matkę, w skutek czego bardzo zachorowała i umarła, a jak inni mówią, sama sobie życie odebrała.

Car wydał rozkaz, aby nie wolno było rzemieślnikom żydowskim osiadać w mieście Moskwie ani w całej gubernii Moskiewskiej.

Włochy. Zatarg Włoch z Ameryką Północną, wynikły z powodu zabicia kilku Włochów w więzieniu w Nowym Orleanie, załatwia się spokojnie. Oto najpierw rząd włoski dowiedział się, że między zabitymi było dwóch jego poddanych, inni byli bowiem oddawna mieszkańcami Ameryki. Co więcej, i ci dwaj byli to jacyś przestępcy, którzy uciekli ze swej ojczyzny do Ameryki, aby uniknąć kary, na jaką zasłużyli. Z drugiej strony Harryson, prezydent Stanów Zjednoczonych Amerykańskich, przysłał telegrafem niezmiernie uprzejmy list do króla Humberta, zapewniając o swej życzliwości dla niego i dla narodu włoskiego, oraz prosząc, aby król ułatwił załagodzenie zatargu w sposób przyjacielski.

Francya. Arcybiskup Algieru w Afryce, kardynał Lawiżry, poświęcił już dom „Bractwa Sahary“ w Biskrze. Pierwszych dziesięciu członków tego bractwa odbyło nowicyat i zabrawszy z sobą rzeczy potrzebne, poszło mieszkać na tej gorącej pustyni, aby śledzić handel niewolnikami tamtędy przewożonymi i dawać im pomoc.

Indye azyatyckie. Pełnomocnik angielski w Manipurze i jego towarzysze wzięci do niewoli podczas rzezi, zostali następnie pomordowani. — Oficer angielski Grant, który ze swym niewielkim oddziałem wojska stał gdzieindziej i tym sposobem ocalał, zdołał potem parę razy pobić Munipurczyków. Rządca Manipuru donosi, że sprawcę rzezi już ścięto.

Rady gospodarskie.

O uprawie jęczmienia.

Do nieco późniejszych już zasiewów należy jęczmień, a to z tego powodu, iż przymrozki wiosenne szkodzą mu więcej, aniżeli innym wymienionym poprzednio roślinom gospodarskim. Nie należy jednak opóźniać się zbytecznie i z siejbą jęczmienia, gdyż wcześniejszy daje zawsze lepszy plon w ziarnie. Najstosowniejszą porą do jego zasiewu jest pierwsza połowa miesiąca kwietnia.

Mamy bardzo wiele odmian jęczmienia, z których większa połowa uprawianą głównie jest dla dostarczenia browarom dobrego słodu i za takie najpiękniejsze ziarno płacą zwykle znacznie drożej. Odmiany te jednak, zwane browarnemi, nie zawsze nadają się do uprawy w gospodarstwach mniejszych, a to z następujących powodów:

Piwowarzy kupują przydatny dla nich jęczmień w większych tylko ilościach i żądają, by pochodził z jednego pola, gdyż ziarno mieszane kiełkuje niejednostajnie, nie jest więc dobre do wyrabiania słodu, właściciel zaś kilku lub nawet kilkudziesięciu morgów pola nie może mieć dużo naraz jęczmienia do sprzedania. Następnie uprawa takiej browarnej odmiany musi być bardzo staranną, zbiór zaś jej odbyć się powinien bez deszczu, a nawet bez dłuższego leżenia pokosów na rosie, gdyż ziarno w takim razie nabiera koloru ciemniejszego i nie jest już pokupne.

Dla ominięcia więc tych trudności, jak oraz z powodu, iż gospodarstwa mniejsze rzadko kiedy mogą sprzedawać jęczmień, potrzebując go do wyżywienia rodziny i czeladzi swojej, lepiej jest starać się przedewszystkiem o takie odmiany, które są najplenniejsze i najmniej wybredne co do gruntu. Tu znowu trzeba rozglądnąć się i popytać w okolicy, szczególnie w dobrych gaspodarstwach dworskich, które próbują rozmaite odmiany tego zboża i nabyć taką, która udaje się najlepiej na gruntach podobnych do naszych. Dodać jeszcze wypada, iż na roli bardzo zasobnej dobrze jest zasiać nieco orkiszu, który jest plenniejszy od innych odmian jęczmienia i dojrzewa wcześniej, potrzebuje jednak ziemi lepszej, aniżeli zwykły jęczmień.

Co do gleby, to jęczmień lubi wogóle ziemie średnio lekkie, niezbyt wilgotne, zasobne w siłę rodzajną i pruchnicę. Grunta zbyt zwięzłe, jak iły i ciężkie gliny, oraz zbyt suche piaski nie są dla niego odpowiednie.

Udaje się najlepiej po roślinach okopowych, to jest po burakach lub kartoflach, jeżeli były sadzone na nawozie, następnie po grochu na ziemiach silnych i po dobrej koniczynie, jeżeli rola uprawioną została przynajmniej dwukrotną orką przed zimą. Po pszenicy lub życie rola jest zwykle zbyt słabą dla jęczmienia. Po poprzednim zasiewie jęczmienia, czyli po sobie samym, nie urodzi się on nigdy dobrze.

Rola pod zasiew musi być dobrze wyrobiona przed zimą, a na wiosnę spulchnioną tylko radłami lub drapaczami. Świeżego nawozu stajennego nie lubi jęczmień, a w razie potrzeby zasilenia ziemi należy dać nawóz handlowy t. j. superfosfat lub inny, zawierający te części pożywne, których ziemi brakuje.

Ziarno do siewu dobierać trzeba czyste i ciężkie. Ilość jego zależy nietylko od dobroci ziemi, ale też i od stanu wilgoci w ziemi. Im rola jest suchszą, tem więcej trzeba nasienia, przeciętnie jednak rachuje się około $1 \frac{1}{4}$ korca na mórg. Przykrywa się je zwykle bronami. Gdy rola jest bardzo pulchną i obawiamy się dłuższej posuchy, można przywalcować zasiew i przejechać bronami.

Przy zbiorze przestrzegać należy, ażeby słoma jęczmienia była zupełnie sucha, gdyż w przeciwnym razie zagrzewa się ona w stodole łatwiej, aniżeli przy innem zbożu. Trzeba więc obrócić pokosy ostrożnie rękami, by obeschły i z drugiej strony, a związawszy rano dla ochrony kłosów od kruszenia się, rozstawić snopy i wozić je dopiero po południu.

Bronowanie czyli skródlenie pszenicy zimowej i zasiewów wiosnianych.

Do bardzo skutecznych środków polepszenia rozwoju pszenicy zimowej należy dobrze wykonane bronowanie jej na wiosnę. Że środek ten nie upowszechnił się dotychczas ogólnie, należy przypisać niedokładnemu lub w niestosownym czasie odbytemu bronowaniu, oraz brakowi czasu na wiosnę, gdy wszelkie roboty wymagają szybkiego załatwienia. Niema jednak żadnej już wątpliwości, że bronowanie na wiosnę jest dla pszenicy zawsze pożyteczne, byle odbyło się w chwili stosownej, to jest gdy rola nie jest ani zbyt wilgotną ani też zanadto suchą i gdy czynność tę wykonamy niezbyt lękliwie, lecz w miarę rzeczywistej potrzeby. Zbyt mokra ziemia nie jest oopowiednią do bronowania, bo zlepia się pod bronami i wstrzymuje potem rozrost korzonków, zanadto znowu sucha i zaskorupiała łamie się większemi grudami lub plastrami i uszkadza krzaki.

Skródlenie pszenicy ozimej koniecznem jest w dwóch odmiennych wypadkach, to jest gdy zasiew powschodził i rozrósł się zbyt gęsto, albo też przeciwnie, gdy wskutek posuchy lub innych powodów przedstawia się na wiosnę zbyt rzadko. W pierwszym razie trzeba zadarnianie pszenicy przerzedzić bronami ostremi, skró-

dląc w kierunkach podłużnym i poprzecznym, by powyrywać krzaki slabiej zakorzenione; w drugim wypadku skródli się pszenicę tylko wzdłuż zagonów lub składów i to bronami niekoniecznie zbyt ostremi, ale przynajmniej trzy razy, to jest by brony przeszły trzy razy jedne za drugiemi w celu spulchnienia ziemi, ulatwienia przystępu do niej powietrza i okopania krzaków, które zaczną się wtedy krzewić znacznie silniej i dadzą plon daleko lepszy, aniżeli pszenica nieskródlona.

Z powyższych więc przyczyn pożytecznem jest skródlenie każdej pszenicy zimowej, a oczyszcza się ją przytem z chwastów, które wyczerpują ziemię bez korzyści, lecz owszem ze szkodą naszą. Choćby pole wyglądało po zawleczeniu prawie czarno, nie trzeba obawiać się, gdyż po najbliższym deszczyku zazieleni się znowu bardzo pięknie. Najstósowniej jest wykonać skródlenie, gdy pszenica zacznie już rosnąć po spoczynku zimowym i gdy spodziewamy się deszczu; w czasie ciągłej posuchy trzeba wstrzymać się z tą robotą. Zbyt wysoka pszenica nie powinna być skródloną, gdyż uszkodzenie jej jest wtedy daleko większe i pozostaje mało czasu do ponownego krzewienia się.

Żyto nie lubi skródlenia, a w razie gdy jest zbyt wyciągnięte na wierzch wskutek mrozu i ma odkryte korzonki, trzeba je przycisnąć walcem, najlepiej pierścieniowym. lecz narzędzie to, lubo bardzo pożyteczne, jest jednak zbyt kosztowne i nie znajduje się u włościan.

Skródlenie bobiku, grochu i kartofli, gdy roślinki ich mają już parę cali wysokości, zasługuje w każdym razie na polecenie; może być także skutecznem przy owsie i jęczmieniu, gdy rola nie jest zbyt lekką i okazuje skłonność do utworzenia skorupy na swej powierzchni, lecz w takim razie uważać należy, by piórka, czyli ździbła roślin były już miękkie i nie łamały się pod bronami. Proso skródli się zwykle silnie ciężkiemi bronami lub radli dnia dziewiątego po zasiewie, gdyż kiełki chwastów są wtedy bardzo kruche i mogą być łatwo zniszczone, proso zaś sieje się umyślnie w tym celu nieco gęściej.

Jeżeli kto ma brony zbyt lekkie, by mógł wykonać skutecznie roboty opisane powyżej, to w takim razie obciążyć je należy kamieniami, które przywiązują się albo na środku, lub też w jednakowej wielkości na wszystkich czterech rogach brony. Zresztą nie potrzebujemy do tego bron zbyt ciężkich, wystarczą zwykłe, które używamy do przykrycia nasienia lub do włóczki roli zoranej, byle nie brakowało im gwoździ dosyć długich i nie zanadto tępych.

A. Lippoman.

NOWINY.

— Z Tarnobrzeskiego donosi nam p. Jan Michalski: Za staraniem Wiel. ks. Tomasza Stefanowskiego wikarego w Trześni, założyło Towarzystwo oświaty ludowej w Krakowie czytelnie dla gminy Nadbrzezie i dla gminy Sokolniki. Uroczyste otwarcie w Nadbrzeziu odbyło się dnia 4 kwietnia b. r. a w Sokolnikach 12 kwietnia b. r. przy licznie zgromadzonej ludności; w Nadbrzeziu kierownictwo Czytelni objął ks. Stefanowski, a w Sokolnikach Jan Michalski nauczyciel.

Rozmaitości.

Oranie w złodzieja. Z powiatu Biłgorajskiego, w Królestwie Polskiem piszą, jak to włościanin ze wsi Kocudzy, Tomasz Diubiel, ukradł swemu sąsiadowi pług, zaniósł go do drugiej wsi, Zwoli, i tam sprzedał. Dowiedział się jednak o tem poszkodowany sąsiad, więc prosi kilku gospodarzy, sołtysa, no, i Tomasza Diubiela, i tak wszyscy razem idą do Zwoli. Jak tylko pług odebrali, zaprzęgli do niego złodzieja, nałożyli mu kantar i kazali ciągnąć. Tak orali w niego przez całą wieś wzdłuż, poganiając biczem, że z pleców złodziejowi aż się kurzyło. Naostatku zaskarżyli go jeszcze do sądu.

Fraszki.

Kuchta: Panie Kucharzu! a co się dzieje po nowiu ze starym księżycem?

Kucharz: To jeszcze tego nie wiesz niedołęgo, że go zesiekają i idzie na gwiazdy.

Cygan sprzedał żydowi na jarmarku konia za 10 złr. Widząc to ktoś z obecnych, rzecze do cygana: A czemużeś ty tak tanio sprzedał tego konia? Bo był kulawy, odpowie cygan. Idzie więc ów chłop do żyda, mówiąc: A wiesz ty żeś kulawego konia kupił? — Nie jest on kulawy — odpowie żyd — tylko był źle okuty. Chłop więc wraca do cygana, mówiąc: Oszukałeś się, bo koń nie jest kulawy, tylko źle był okuty. — Na to odpowie cygan: Gdzie tam nie kulawy; ale ja go umyślnie źle okuł, żeby żyd myślał, że on z tego kuleje. Chłop więc idzie jeszcze raz do żyda i śmieje się opowiadając mu jak go cygan oszukał. Żyd jednak nie bardzo się tem zmartwił, gdyż przyznał się chłopu, że na wszelki wypadek, bojąc się oszustwa, zapłacił za konia fałszywe dziesiątki.

Sławny szewc Kiliński, który póżniej został pułkownikiem, przygotowując w Warszawie w r. 1794 powstanie przeciwko Moskalom, był raz wspólnie z rzeźnikiem Sierakowskim na naradzie u pewnej znakomitej pani polskiej. Odchodzącym podała owa pani rękę do ucałowania. Kiliński pocałował w rękawiczkę, Sierakowski zaś odchylając rękawiczkę pocałował w gołą rękę i rzekł: szewc wziął się do skóry, ja zaś jako rzeźnik biorę się do mięsa.

Nadesłane.

Uchwałą z dnia 12 b. m. postanowił Zarząd czytelni ludowej w Jedliczu wyrazić Świetnemu Wydziałowi Krośnieńskiej Rady powiatowej za *Krakusa*, Wielmożnemu Panu Waleryanowi Stawiarskiemu właścicielowi dóbr za *Krakusa* i książki, Panu Kasprowi Wojnarowi i Panu Ginalskiemu za inne pisma, uczniom gimnazyum w Jaśle za 180 książeczek, oraz wszystkim tym, którzy czytelnię odpowiedniemi dziełkami lub groszem wspierają, najserdeczniejsze podziękowanie.

Jedlicze 15 kwietnia 1891.

W. Manierski sekretarz. *Jędrzej Pająk.* przewodniczący czytelni.

JWielmożny Pan Józef Michałowski, właściciel dóbr, zaprenumerował *Krakusa* tutejszej szkole, jako też i Przewielebny ks. Proboszcz Franciszek Szczudlo, za co Zarząd szkoły składa Im imieniem licznych czytelników „Bóg zapłać.“

Zarząd szkoły ludowej w Witkowicach.

Pan Józef Hr. Męciński, właściciel dóbr Partynia oraz poseł na Sejm krajowy, zaprenumerował dla gmin w swoich dobrach gazety, i to dla gminy Łęg ad Partyn *Krakusa i Gwiazdę katolicką*, a dla gminy Łukowa *Krakusa*, Za tę dobroczynność w oświacie ludu, zanoszę Mu serdeczne podziękowanie, staropolskie „Bóg zapłać.“

J. Mężyk z Łęg.

Sprawozdanie z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 21 kwietnia.

Płacono za pszenicę białą od 10.40 do 10.85 złr., za czerwoną od 10.— do 10.80 złr., za żółtą od 10.— do 10.70 złr.; za żyto od 7.50 do 8.10 złr.; za jęczmień browarny od 7.— do 7.40 złr.; na paszę od 6.25 do 6.75 złr.; za owies od 6.70 do 7.— złr.; Rzepak od —.— do — —. Wszystko za 100 kilogramów.

L. 76.

Ogłoszenie.

W krajowej niższej szkole rolniczej w **Kobiernicach**, która ma na celu kształcenie przedewszystkiem **synów włościańskich** na zdolnych gospodarzy praktycznych, **rozpoczyna się rok szkolny 1891/92 z dniem 1 lipca 1891**

Kto chce wstąpić jako uczeń zwyczajny do tej szkoły, powinien:

1. **Najdalej do 15 maja b. r.** wnieść do Dyrekcyi szkoły w Kobiernicach (poczta Kozy) podanie, z dołączeniem:
   a) metryki urodzenia udowadniającej, że kandydat ukończył 16 rok życia;
   b) świadectwa szkolnego z ukończenia szkoły ludowej z dobrym postępem;
   c) świadectwa moralności i dotychczasowego zatrudnienia wystawionego przez właściwego duszpasterza i zwierzchność gminną;
   d) świadectwa zdrowia wystawionego przez lekarza.
2. W dniu oznaczonym przez Dyrekcyę **poddać się egzaminowi wstępnemu**, z którego kierownik szkoły osądzi, czyli kandydat jest dostatecznie umysłowo rozwinięty i posiada potrzebne wykształcenie elementarne, ażeby mógł korzystać należycie z nauk w szkole rolniczej udzielanych.
3. Otrzymawszy zapewnienie przyjęcia, złożyć do rąk kierownika szkoły pisemne zobowiązanie rodziców, opiekunów lub protektorów, poręczające regularną wypłatę należytości przypadających zakładowi za utrzymanie ucznia.

Synowie ubogich rodziców, chcący otrzymać bezpłatne utrzymanie w zakładzie, winni po dopełnieniu warunków pod 1 i 2 wymienionych, wnieść osobne prośby do Wydziału krajowego na ręce Dyrekcyi;

Synowie włościan posiadających własne gospodarstwa, otrzymać mogą bezpłatne utrzymanie (pomieszkanie, wikt, pościel i pranie) **tudzież ubranie** w zakładzie, kosztem funduszu krajowego.

Każdy jednak wstępujący do zakładu, powinien być zaopatrzony w dostateczną bieliznę i dobre juchtowe buty.

Bliższych wiadomości udzieli na żądanie:

Dyrekcya krajowej niższej szkoły rolniczej w Kobiernicach.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.